



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: JAK SFILMOWAĆ POEZJĘ?

Niedawno napisałem, że tegoroczny polski sezon filmowy upływać będzie pod znakiem adaptacji znanych dzieł literackich, budząc z pewnością wiele dyskusji wokół kwestii, czy słowo zostało w adekwatny sposób przełożone na język obrazu kinowego. I na ile jest dopuszczalna własna wizja artystyczna reżysera, do jakiego stopnia wolno mu dokonywać filmowych zabiegów na autentycznej tkance literackiej. Tymczasem otrzymaliśmy rzecz szczególnie wyraziście aktualizującą ten problem - „Dolinę Issy”, nakręconą przez Tadeusza Konwickiego na podstawie książki Czesława Miłosza pod tym samym tytułem.

Ci, którzy czytali książkę, wiedzą, że stanowi ona wypad poety do krainy dzieciństwa, na Litwę końca drugiej dziesiątki lat naszego wieku. Do owej owianej mgiełką nostalgii „doliny”, w której życie jak gdyby zastygło na marginesie toczącego się wokół świata, gdzie Litwini, Polacy, Niemcy, Żydzi, obywatele ziemscy, chłopci i szlachta zaściankowa żyją w swoistej, zastanej od wieków - choć już tu i ówdzie zaczynającej pękać - symbiozie. Gdzie nie ma do końca sprecyzowanego poczucia przynależności narodowej (najczęściej jest się „tutejszym”), i gdzie wciąż jest miejsce na czary, gusła, czarty i leśne boginki, z którymi obcuje się na co dzień. I gdzie jest czas na rzecz najważniejszą: na smakowanie życia takim, jakim zostało ono nam dane, i na rozumienie przyrody, która nas otacza. Jest w dolinie Issy i miejsce na biologię, ale jest również - na refleksję filozoficzną i zadumę nad człowieczą kondycją. Dramatis personae: ziemianin - dziadek Surkont, szlachcic na zagrodzie - Romuald Bukowski, gajowy Baltazar, owczarz Masiulis, piękna samobójczyni Magdalena i ksiądz Peiksa, zakochana w swym chlebodawcy Barbarka i Domcio usiłujący zgłębić tajemnicę boskości - wszyscy oni żyją, pracują, kochają i grzeszą na sposób właściwy ich pochodzeniu i osobowości. Ale spoglądamy na nich także oczyma postaci pierwszoplanowej, małego Tomaszka, wnuka ziemianina Surkonta. I to spojrzenie właśnie wnosi do „Doliny Issy” wymiar poetycki. „Cóż za proza! - notował w swym dzienniku Jerzy Zawieyski, pod wpływem lektury książki Miłosza. - Właściwie jest to poezja. Słowo Miłosza jest konkretne, realne, równocześnie poetyckie” .

No właśnie! Jak przełożyć poezję na język kina? Jak zamknąć tę luźną strukturę książki Miłosza, jej refleksyjność, jej metaforykę, jej osobliwą dramaturgię - w ramach ekranu

kinowego? Wydawało się od początku, że predystynowany do takiego zabiegu jest tylko jeden człowiek w Polsce - reżyser i pisarz, także z litewskiego maticznika się wywodzący - Tadeusz Konwicki. I autor „Sennika współczesnego”, istotnie, podjął się nakręcenia „Doliny Issy”.

Jak mu się to udało? Słyszałem słowa bezkrytycznego zachwyty nad filmem, dochodziły mnie też głosy krytyczne. Że nudny. Że reżyser nie oddaje istoty ducha książki Miłosza. Że niepotrzebnie wprowadza do filmu drugi wymiar czasowy przez „współcześnie” recytowane, na tle amerykańskich wieżowców, wiersze Miłosza, co całą „resztę” spycha do roli „retrospektywy”. Innym osobom - taki właśnie zabieg podobał się, przydając ekranizacji, ich zdaniem, bardziej filozoficznego, uniwersalnego wymiaru.

Należę do tych, którym dzieło Konwickiego podobało się w sposób umiarkowany, chociaż uważam, że nie brak w nim scen naprawdę doskonałych (bo zresztą film ma konstrukcję „luźną”, rozpada się na szereg przenikających się opowieści, kieruje się logiką widzenia autorskiego, a nie przyczynowo - skutkowym ciągiem pokazywanych na ekranie zdarzeń, co jest zresztą charakterystyczne dla twórczości Konwickiego). Ale mam wciąż przed oczyma dzieło Miłosza i ono mi przeszkadza w percepcji filmu Konwickiego.

Otóż to: przeszkadza. Może właśnie istota doskonałej adaptacji filmowej polega na tym, aby literacka wersja dzieła nie „przeszkadzała” nam w oglądaniu filmu. Musi więc film na tyle zrosnąć się ze swym literackim pierwowzorem, na tyle „wejść” w jego istotę, aby potem nawet poważne „dowolności” reżysera, mające poświadczać indywidualność jego interpretacji, nie wypaczyły sensu i ducha książki czy opowiadania. Taka idealna symbioza miała - moim zdaniem - miejsce w wypadku ekranizacji przez Wajdę „Pani z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza. Opowiadanie napisane wtedy, kiedy autor miał 30 lat, zostało dopełnione wiedzą o świecie i ludziach przez pięćdziesięcioletniego reżysera. Ale odbyło się to bez zgrzytów, nastąpiło jakby przeniknięcie się osobowości artystycznych pisarza i reżysera. Były to na ekranie te same „Panny z Wilka”, tylko jakby napisane w bez mała pół wieku później, z perspektywy minionych lat pięćdziesięciu.

Zygmunt Kałużyński nazwał „Dolinę Issy” filmem przede wszystkim nostalgicznym. To znaczy takim, w którym dominuje tęsknota za dawnymi czasami, miejscami, ludźmi, wśród których artysta (reżyser) przed laty się obracał, między którymi żył, za światem, który już nigdy nie wróci. „Dla Konwickiego (...) okolica ta jest czym innym (niż dla Miłosza – MD); właśnie ową wyspą rezerwy psychicznej, Arkadią, Tebaidą, Dzikimi Polami, Far-Western. I także, i nade wszystko, dzieciństwem utraconym, ale zarazem stale posiadanym wewnątrz. Dlatego uważam, że Konwicki, mimo że trzyma się materiału powieści Miłosza, w istocie zrobił z niej zgola własny użytek”.

I tutaj właśnie otwiera się pole do dyskusji na temat prawa do robienia przez reżysera „własnego użytku” z dzieła innego artysty. Książka Miłosza to niewątpliwie dzieło również „nostalgiczne”, ale wydaje mi się, że istotą „Doliny Issy” jest przede wszystkim, złączony z istotą człowieczeństwa, bezustanny wysiłek poznania, zrozumienia, a przynajmniej przeżycia otaczającego nas świata - tego ludzkiego i tego ponadludzkiego. Kielkuje w nas ta potrzeba od lat najmłodszych. Nic więc dziwnego, że głównym nośnikiem owych niepokojów, które nawiedzają szalonego Baltazara i świętokradcę Domcia, szarpanego ziemską miłością księdza Pelkę i filozofującego dziadka-ziemianina Surkonta, jest nie kto inny, jak mały Tomaszek. Tomaszek, wokół którego ludzie żyją, kochają się, mordują i grzeszą cielesnie, bluźnią przeciw Bogu i wznoszą się niemal na wyżyny świętości, w tym wszystkim właśnie spełniając swój ludzki wymiar.

„Ostatni horror na Litwie”, napisał Kałużyński o filmie Konwickiego. W książce Miłosza nie ma horroru. Są wprawdzie strzygi, żyjące trupy i inne okropieństwa. Jest biologiczność, która mogłaby zatracać nawet o naturalizm, gdyby nie było w tej „biologii” tak wiele poezji. Kiedy mały Tomaszek płaczą nad skrwawionym trupkiem zastrzelonej dopiero co przez siebie wiewiórki, wiemy na pewno, że z tego chłopca wyrośnie w przyszłości nie myśliwy, ale poeta. W filmie Konwickiego chłopiec też płacze nad wiewiórką, ale to nie ten sam płacz, co u Miłosza.

Dlatego, choć z przyjemnością obejrzałem „Dolinę Issy” Tadeusza Konwickiego, to pozostaję zwolennikiem „Doliny Issy” Czesława Miłosza. W tym przypadku słowo wciąż jeszcze wychodzi zwycięsko w zestawieniu z obrazem. Pytanie zawarte w tytule: jak sfilmować poezję? pozostaje zatem wciąż sprawą otwartą.

Pierwodruk: „Kamena”, 1982, nr 18, s. 5.